

 Harlequin® *Gorący Romans*®



W świecie biznesu

Jennifer Lewis
Żona za milion dolarów

Jennifer Lewis
Żona za milion dolarów

Tłumaczyła
Maria Dorycka

Tytuł oryginału: Bachelor's Bought Bride

Pierwsze wydanie: Silhouette Books, 2010

Redaktor serii: Ewa Godycka

Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka

Korekta: Urszula Gołębowska

© 2010 by Harlequin Books S.A.

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Gorący Romans są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
 00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTExT®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8770-6

GR – 955

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Świetnie. I co teraz?

Ojciec Bree Kincannon machał do niej z drugiego końca sali balowej. Zesztywniała, widząc, że przediera się w jej kierunku przez tłum elegancko ubranych gości. Odszedł od ich stolika natychmiast po deserze, chcąc się wszystkim pokazać. Jak zwykle.

A Bree jak zwykle czekała tylko, by ten wieczór wreszcie się skończył. Pojawiła się tu wyłącznie dlatego, że zbierano pieniądze na bliską jej sercu organizację dobroczynną. Nieufnie spojrzała na ojca. Jego siwe włosy połyskiwały w światłach lamp. Dopiero teraz zauważyła stojącego za nim wysokiego mężczyznę.

Nie, znów to samo. Kiedy on wreszcie przestanie ją przedstawiać wszystkim kawalerom w San Francisco!

– Bree, skarbie, chciałbym, żebyś kogoś poznała.

Miała dwadzieścia dziewięć lat i słyszała te słowa już wiele razy. Na ogół kończyło się potem na pierwszej randce, i to niezbyt udanej.

– Gavinie, to moja córka Bree. Bree, to Gavin Spencer. Jest dyrektorem do spraw reklamy w Maddox Communications.

Uprzejmie podała mu rękę.

– Bardzo mi... – O Boże! Podniosła wzrok i onie-
miała. Zaczesane do tyłu ciemne włosy, doskonale wy-
rzeźbione rysy, cień zarostu na policzkach i zmysłowe
usta.

– Miło? – W jego szarych oczach pojawił się błysk
rozbawienia.

– Tak, naprawdę bardzo mi miło. – Cofnęła rękę.
Jej ojciec najwyraźniej zwariował, skoro uważa, że taki
mężczyzna może się nią zainteresować. – Maddox zro-
bił ostatnio kilka naprawdę dobrych kampanii. Reklamy
prasowe dla Porto Shoes były naprawdę znakomite.

No cóż, ciekawe, ile razy zamierza jeszcze powtó-
rzyć słowo „naprawdę”. Poczwała gorąco na policzkach.

– Dziękuję, pracowałem przy tej kampanii. – Od-
słonił w uśmiechu idealnie białe zęby. – Twój ojciec
wspominał, że też zajmujesz się fotografią.

Zerknęła na ojca. Naprawdę? Z reguły dość lekce-
ważąco traktował jej „hobby”, jak to kiedyś określił.

– Owszem, lubię robić zdjęcia.

– Niedawno zdobyła jakąś nagrodę – wtrącił ojciec
z dobrodusznym uśmiechem. – Czarny Kapelusz czy
coś takiego.

– Czarną Księżkę... Księżkę – wyjąkała. – To konkurs
fotografii reklamowej.

– Doskonale wiem, czym jest nagroda Czarnej
Księżki. – Gavin przechylił lekko głowę. – Gratuluję
sukcesu.

Ojciec Bree pomachał do kogoś za jej plecami, ski-
nął głową przepaszająco i zostawił ją sam na sam
z najprzystojniejszym na balu mężczyzną.

Pogładziła przód swojej taftowej sukni, żałując, że
nie włożyła czegoś mniej... okropnego.

– Jakie zdjęcia robisz?

– Głównie portrety. – Mówiła w miarę opanowanym głosem, co w tych okolicznościach było sporym osiągnięciem. Zirykowało ją, że ten przystojny mężczyzna wywiera na niej takie wrażenie. Podobne sytuacje zawsze ją krępowały. – Staram się pokazać osobowość człowieka.

– Co chyba nie jest łatwe.

– Po prostu trzeba uchwycić właściwy moment. – Wzruszyła ramionami. Nie umiała tego lepiej wyjaśnić. – Chyba mam ku temu pewne uzdolnienia.

Uśmiechnął się.

– Za uzdolnieniami zazwyczaj kryje się talent, który człowieka wyróżnia na tle innych.

– W tym tłumie na pewno się nie wyróżniam. – Machnęła ręką w kierunku gości, bogatej śmietanki towarzyskiej San Francisco, i od razu pożałowała swoich słów. Oczywiście, że się wyróżnia. Jest najbrzydsza i najmniej atrakcyjna.

– Tutaj każdy robi wszystko, żeby zabłysnąć. – Kiedy się uśmiechał, na policzkach robiły mu się dołeczki. – Tymczasem najbardziej interesujący są ludzie, którym na tym nie zależy. Zatańczymy?

– Zatańczymy?

– Czyżby jakieś echo?

– Nie. To znaczy tak. Chętnie.

Przez chwilę miała ochotę zapaść się pod ziemię. To oczywiste, że on nie chciał z nią zatańczyć. Po prostu stara się być uprzejmy. I najpewniej by się ucieszył, gdyby odmówiła. Podał jej ramię i poprowadził na parkiet. Orkiestra ubrana we fraki grała stary szlagier z lat trzydziestych. Gavin objął ją w talii.

W dzieciństwie kazano jej chodzić na lekcje tańca, więc na szczęście kroki miała głęboko utrwalone w podświadomości.

Sala przesuwiała się jej błyskawicznie przed oczami, gdy Gavin wirował z nią na parkiecie. Zręcznie prowadził ich pomiędzy pozostałymi tancerzami, znakomicie wyczuwając rytm. Otoczył ją jego zapach, hipnotyzujący i odurzający. Ledwo dostawała ramieniem do jego szerokiego barku – co było dość dziwne przy jej wzroście metr siedemdziesiąt pięć – a mimo to miała wrażenie, że płynie wraz z nim, unosząc się na dźwiękach trąbek i puzonów.

Gdy muzyka umilkła, Bree wyzwoliła się z objęć Gavina. To naprawdę ona tańczyła przed chwilą z tym mężczyzną?

– Świetnie tańczysz. – Poczowała na policzku jego gorący oddech.

– Ja? To ty świetnie prowadzisz. Ja musiałam jedynie na to pozwolić.

– Co też jest sztuką. Zaręczam ci, że połowa kobiet w tej sali nie dałaby mi się tak prowadzić.

Bree roześmiała się.

– Masz piękny uśmiech.

– Sześć lat w aparacie każdemu pomoże.

Tym razem on się roześmiał.

– Oraz poczucie humoru.

Poprowadził ją w kierunku baru. Ze wszystkich stron napotykali na zaciekawione spojrzenia, zarówno kobiet jak i mężczyzn. No cóż, nie jest łatwo oderwać wzrok od najprzystojniejszego faceta na sali.

Bree nie czuła się z tym dobrze. Z pewnością wszyscy zastanawiali się, co on w niej widzi.

Ją to też ciekawiło, chociaż nietrudno było się domyślić, czego mężczyzna może chcieć od dziedziczki wielkiej fortuny. To słowo zaczyna się na „p”, a kończy na „e”. Tylko że facet taki jak ten mógłby się ożenić z każdą bogatą panną, a było ich tu dzisiaj sporo.

Co było w niej wyjątkowego? Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, żeby nie zastanawiała się nad tym, tylko cieszyła zainteresowaniem, które wprawiało jej serce w przyspieszony rytm.

– Masz ochotę na szampana?

– Chętnie. – Czemu nie? Za taki taniec warto wypić.

Gdy delikatne bąbelki rozlały się jej po języku, Gavin się pochylił. Niemal poczuła na policzku jego zarost.

– Jak to się stało, że cię do tej pory nie spotkałem?

– Rzadko bywam. Zaadoptowałam dwa kociaki z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Oakland, więc przyszłam na ich bal charytatywny. Masz zwierzęta w domu?

Potrząsnął głową.

– Nie. Późno wracam i często wyjeżdżam. Te koty miały szczęście, że do ciebie trafiły.

– Chyba tak. Zwłaszcza że Ali potrzebuje zastrzyków z insuliny. Trudno znaleźć dom dla chorego zwierzęcia.

– Lubisz pomagać innym.

– Inni nazywają to naiwnością. – Uśmiechnęła się.

– Ale sprawia mi to przyjemność. Te koty to moje dzieci.

Na ułamek sekundy w spojrzeniu Gavina pojawił się jakiś dziwny wyraz. Czyżby zastanawiał się, po co do licha marnuje czas na rozmowę z zakochaną w kotach starą panną w falbaniastej sukni?

Ale to prawda, że wolałaby być teraz z kotami

w domu. W obecności Gavina czuła się niepewnie, analizowała każdy swój gest i każde słowo. Byłoby jej łatwiej, gdyby mogła umieścić między nimi obiektyw.

– A ja przyszedłem, bo jeden z naszych klientów wykupił dla agencji cały stół. Cel jest bardzo szczytny, ale ja też nie lubię takich imprez – powiedział cicho. – Tłok, nudne przemówienia, twarda wołowina. – Na jego policzkach znów pojawiły się dołeczki.

Poczuła w środku falę ciepła.

– A co najbardziej lubisz robić?

– Ciekawe pytanie. Dużo pracuję i czasem zapominam, że są też inne rzeczy. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Ale ostatnio myślę o tym, żeby zwolnić i zacząć cieszyć się życiem. A może nawet... – Zamilkł i przeciągnął dłonią po włosach, jakby się zawstydził. – Chciałbym założyć rodzinę. – Skrzywił się ironicznie. – Wiem, to brzmi banalnie.

– Wcale nie. – Głębokie spojrzenie jego oczu przyprowadziło ją o zawroty głowy. – To normalne. Każdy potrzebuje w życiu pewnej równowagi.

– Słusznie. Może w takim razie zatańczymy dla równowagi? Grają moją ulubioną piosenkę.

Ze sceny rozległa się zmysłowa latynoska melodia. Na myśl, że znów znajdą się tak blisko siebie, poczuła przypływ adrenaliny. To się chyba nie dzieje naprawdę.

Wziął ją pod rękę i ponownie poprowadził na parkiet. Żałował, że przez sztywną tkaninę rękawa nie może poczuć jej miękkiej skóry. Zresztą wszystko w niej było miękkie – duże szare oczy częściowo ukryte za okularami, zaróżowione policzki i ładne usta. Po-

dejrzał, że pod fałdami szarej tafty kryje się bujne miękkie ciało.

Jej ojciec dał mu do zrozumienia, że Bree jest mało atrakcyjna i że jej przedłużające się staropanieństwo wprawia go w zakłopotanie. I był gotów pozbyć się tego ciężaru za całkiem pokaźną sumę. Obejmując Bree w talii, Gavin poczuł przyjemne pulsowanie w łędźwiach. Tak, dla takiej kobiety mężczyzna rzeczywiście mógłby się zatracić. Przytulił ją mocniej. Ciemne włosy miała związane w ciasny kok. Wyobraził sobie, jak by wyglądały rozpuszczone.

Podobało mu się też, jak Bree się porusza – miękko i lekko, jakby razem z nim płynęła. Gdy po kolejnym obrocie spojrzała na niego, jej oczy błyszczały, a na ustach pojawił się nieśmiały uśmiech. Jeśli pierwsze wrażenie go nie myliło, Bree Kincannon byłaby bardzo dobrą panią Spencer. No cóż, nie należała do kobiet, wokół których przy barze gromadzi się tłum mężczyzn, ale co z tego? Nie potrzebował żony trofeum, by udowodnić swoją męskość.

Poza tym Bree Kincannon ma swoje niezaprzeczalne zalety. Dokładnie cały milion.

Ich spojrzenia spotkały się, a wtedy poczuł nagle ukłucie wyrzutów sumienia. Naprawdę ożeni się z tą kobietą dla pieniędzy? Przez dziesięć lat harował jak wół, chcąc wyrobić sobie markę w reklamie. Od pierwszego dnia wiedział, że chce założyć własną agencję, zebrać ludzi obdarzonych talentem i szturmem wdrzeć się na sam szczyt reklamowego rynku.

Gdyby dziesięć lat temu ktoś mu powiedział, że w wieku trzydziestu lat wciąż będzie pracował na cudzy rachunek, to roześmiałyby mu się w twarz.

Niestety, to z niego los sobie zakpił. Towarzystwo ubezpieczeniowe, które miało zapewnić jego ojcu emeryturę, zbankrutowało. Pomógł rodzicom spłacić kredyt hipoteczny i wcale tego nie żałował. Bo największym błędem jego życia było to, że zaufał znanemu „doradcy inwestycyjnemu” i powierzył mu znaczną część oszczędności. Przeczytał potem w gazetach, że doradca wydał te pieniądze na konie wyścigowe i zabytkowe skrzypce.

Gavin mocniej przytulił Bree do siebie. Podniosła wzrok. Podobały mu się jej oczy, łatwo mógłby sobie wyobrazić, że przyjdzie mu w nie patrzeć do końca życia. Miał dobre przeczucie co do Bree, a jego przeczucia jeszcze go nie zawiodły. Nigdy nie szukał żony ani nawet dziewczyny. Znajomi żartowali, że ożenił się z pracą. I specjalnie się nie mylili. Naprawdę kochał swoją pracę, a jeśli chodzi o kobiety, to wystarczyły mu przygody. Przynajmniej nikt nie zdążył się rozczarować.

Ale gdyby zaczął wcielać swój plan w życie, zrobiłby wszystko, by nie zawieść Bree. Byłby dla niej dobrym mężem. Odchylił ją do tyłu. Poddała się i z ufnością oparła się na jego ramieniu. Gdyby wiedziała, co mu chodzi po głowie, byłaby przerażona.

Ale nigdy się o tym nie dowie. Nigdy.

Zachichotała, kiedy pomógł jej się wyprostować. Poczuł podniecenie. Nieczęsto zdarzało mu się coś takiego. Był pewien, że wszystko dobrze się ułoży.

Bree stała przed lustrem. Poszła do łazienki pod pretekstem poprawienia fryzury, ale w istocie chciała sprawdzić, co Gavin Spencer w niej zobaczył.

Ludzie zawsze jej mówili, że ma ładne oczy. Dziwne, bo przecież nosi okulary. Opuściła niżej oprawki – ładne, nierzucające się w oczy, które wkładała na specjalne okazje – i spojrzała na swoje odbicie. Nie zauważyła w swoich oczach niczego szczególnego. Zapewne ludzie zwykle mówią takie rzeczy, kiedy nie stać ich na inny komplement. Włożyła okulary na nos. Wielokrotnie słyszała, że lepiej by jej było w soczewkach kontaktowych, ale wydawało się to zbyt kłopotliwe.

Fryzurę miała beznadziejną, jak zawsze. Nic innego nie dało się zrobić z kręconych niesfornych włosów. Nie powinna była wyjmować spinek, które wcześniej z takim trudem wpięła. Tym razem kok był daleko mniej udany.

Nigdy się nie malowała, więc i teraz na jej twarzy nie było śladu makijażu. Nie umiała używać szminki, różu i kredki do oczu, a ilekroć podejmowała taką próbę, wyglądała jak klaun. A do tego ta beznadziejna suknia. Ciotka Freda zapewniała ją, że taki fason „ukrywa niedostatki figury”. Z pewnością. Obfite fałdy mogłyby z powodzeniem ukryć także bandę międzynarodowych terrorystów oraz kilka skrzynek whisky z przemytu. Przy łódzkowym dekolcie jej biust piętrzył się niczym górski łańcuch.

Nie wyglądała lepiej niż zwykle. Wyglądała nawet gorzej. Więc dlaczego Gavin wydawał się nią... oczarowany? Nie mógł oderwać od niej wzroku. Od chwili, kiedy się poznali, towarzyszył jej bez przerwy. Spodziewała się, że pożegna ją, gdy tylko zobaczy kogoś znajomego. Tak się jednak nie stało.

Prawdę mówiąc, była niemal pewna, że czeka teraz na nią na zewnątrz. Westchnęła ciężko. Na policzkach

pojawiły się jej rumieńce, które nie wyglądały ładnie, ale oczy za to błyszcząły. I nic dziwnego. Nigdy jeszcze tak nie tańczyła. Nawet w najśmielszych marzeniach. Czuła się jak Kopciuszek na balu.

Rozbawiło ją to spostrzeżenie. W końcu należała do najbogatszych kobiet w San Francisco. Oczywiście pieniądze te miały jej przypaść w bardzo staroświecki sposób, jako spadek, więc specjalnie nie była z tego dumna. Wręcz przeciwnie. Często wydawało jej się, że ludzie mówią: „No proszę, ma tyle pieniędzy, a nic nie udało jej się osiągnąć”.

Jej ojciec na pewno tak myśli. Nawet powiedział to głośno raz czy dwa razy. Wzięła głęboki wdech i odgarnęła za ucho niesforny kosmyk włosów.

Bree Kincannon, jesteś piękną, pociągającą kobietą.
Nie, to wcale nie brzmiało przekonująco.

Bree Kincannon, jesteś cholernie dobrą fotograficzką i fantastyczną kocią mamką.

Tak, teraz lepiej.

Już chciała się do siebie uśmiechnąć, ale zauważyła, że jakaś smukła blondynka przygląda się jej uważnie. Szybko przygladziła włosy i ruszyła do wyjścia.

Na zewnątrz Gavina nie było. Zaskoczyło ją własne rozczarowanie, ale szybko przywołała się do porządku. Naprawdę spodziewała się, że taki facet będzie na nią wyczekiwał niczym wierny pies? Z pewnością zdążył już sobie znaleźć inną partnerkę do tańca.

Ukradkiem obserwowała parkiet. Północ już minęła, więc i tłum się przerzedził. Wszyscy mężczyźni mieli na sobie takie same czarne smokingi, ale była pewna, że Gavina zauważy od razu. Niewątpliwie rzucał się w oczy.

Z pewną ulgą stwierdziła, że na parkiecie go nie ma. Ale czy to ma znaczyć, że wyszedł, nie mówiąc do widzenia? Z pewnością więcej się z nim nie spotka. No bo dlaczego miałyby akurat do niej zadzwonić?

Uniosła nieco głowę i ruszyła między krzesłami do stolika, przy którym siedziała wcześniej z bardzo nudnymi współnikami ojca. Może nie powinna była ich tak źle oceniać, skoro każdy z nich ochoczo zapłacił tysiąc dolarów za bilet. Na szczęście wszyscy już sobie poszli. Zdjęła z oparcia krzesła wyszywaną koralikami torebkę i założyła sobie na ramię.

Jeszcze raz rozejrzała się szybko dookoła. Ani śladu Gavina. Poczowała chłód. A więc to koniec cudownego wieczoru. Wszyscy, którzy widzieli ją wcześniej z Gavinem, z pewnością patrzą teraz na nią tak jak zwykle. Biedna Bree. Jak zawsze podpira ściany.

Skierowała się do wyjścia. Zazwyczaj wracała z takich imprez taksówką, bo ojciec zostawał na pogaduszki niemal do świtu. W pewnym sensie było godne pożałowania, że wciąż mieszkała w rodzinnym domu. Ale kochała Russian Hill, a wielkie studio na poddaszu, które przerobiła na apartament, kojarzyło jej się ze szczęśliwymi czasami, kiedy jeszcze żyła matka. Spędzały tutaj długie popołudnia, mama malowała, a ona bawiła się na podłodze przy sztaludze.

Bree zagryzła wargi. Ma szczęśliwe życie. Nie potrzebuje, żeby jakiś przystojny brunet w nim mieszał.

Odebrała płaszcz z szatni i zarzuciła sobie na ramię. Odwróciła się w kierunku wyjścia, gdy nagle serce jej zamarło. Gavin rozmawiał z ojcem.

Zmarszczyła brwi. Skąd ta zażyłość? Jej ojciec zwracał uwagę jedynie na najbogatszych przedsiębiorców,

dzięki którym mógł zarobić grube pieniądze. Gavin jest jedynie specjalistą od reklamy – praca sama w sobie może interesująca, ale to co innego niż własny interes – więc dlaczego ojciec rozmawia z nim tak, jakby miał przed sobą samego Billa Gatesa?

Otułiła się płaszczem i wolno ruszyła w ich kierunku. Gdy ją zobaczyli, gwałtownie przerwali rozmowę, co wywołało w niej ukłucie niepokoju.

– Bree, skarbie! – Ojciec wyciągnął do niej rękę. – Właśnie rozmawiamy z Gavinem o tym, że to był naprawdę udany wieczór. Jestem ci wdzięczny, że namówiłaś mnie na kupno biletów. – Odwrócił się do Gavina. – Bree bardzo lubi zwierzęta.

Uśmiechnęła się z wymuszoną uprzejmością.

– Naprawdę miło było cię poznać, Bree. – Ich spojrzenia spotkały się.

Poczuła na twarzy gwałtowny rumieniec, a serce zaczęło jej bić jak szalone.

– Wzajemnie – wykrztusiła.

– Masz wolny czas w piątek? Moja firma wydaje przyjęcie w Rosa Lounge z okazji nowej kampanii. Miałabyś ochotę ze mną pójść?

Bree zakręciło się w głowie. Piątek? To wygląda na poważną randkę. Na dodatek miałaby poznać jego kolegów z pracy. Wyszło jej w ustach.

– Jasne, bardzo chętnie.

– Przyjadę po ciebie, dobrze?

– Świetnie. – Uśmiechnęła się, próbując zachować spokój. – Do zobaczenia.

– Do widzenia, skarbie. – Ojciec posłał jej niewyraźny uśmiech. – Zostanę jeszcze pogadać ze znajomymi.